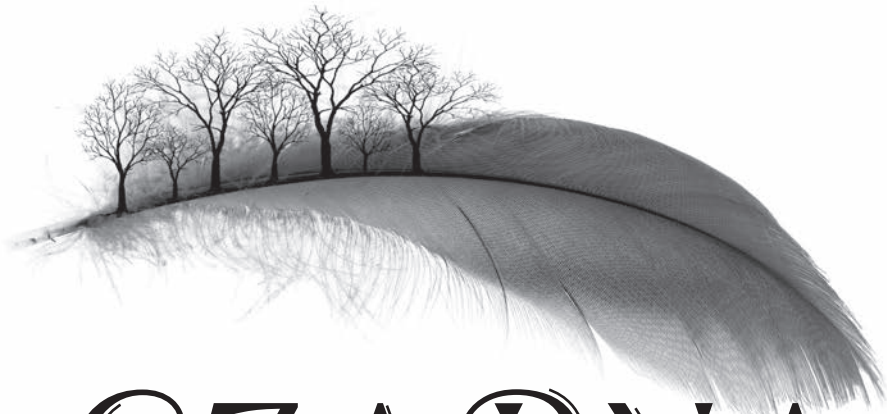


LAURIE FOREST



CZARNA
WIEDZMA

KRONIKI CZARNEJ WIEDZMY

TOM I

Przełożył: Michał Zacharzewski



Tytuł oryginału: *The Black Witch*

Text copyright © 2017 by Laurie Forest

Copyright © for the Polish translation by Michał Zacharzewski, 2024

Redakcja: Joanna Czarkowska

Korekta: Bartosz Szpojda, Renata Kuk

Skład i łamanie: Robert Majcher

Ilustracje wykorzystane na okładce: © NikhomTreeVector/Shutterstock.com;

© tomertu/Shutterstock.com; © Bildagentur Zoonar GmbH/Shutterstock.com

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-426-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

Druk i oprawa: Abedik

Wydrukowano na papierze Holmen Cream 60g.

Dla mojej matki, Mary Jane Sexton,
artystki, intelektualistki, wybitnie kreatywnej osoby
(1944-2015)



Północ

Góry Islandzkie

MAELORIA

Ziemie Elfów Alfisgr

Wyspy
Pyrrańskie

PÓŁNOCNE GÓRY KALEDOŃSKIE

GARDNERIA

Zatoka Malthorin

VALGARD

Morze Voltyckie

ROTHIR

TERYTORIUM
WILKOŁAKÓW
Z POŁUDNIA

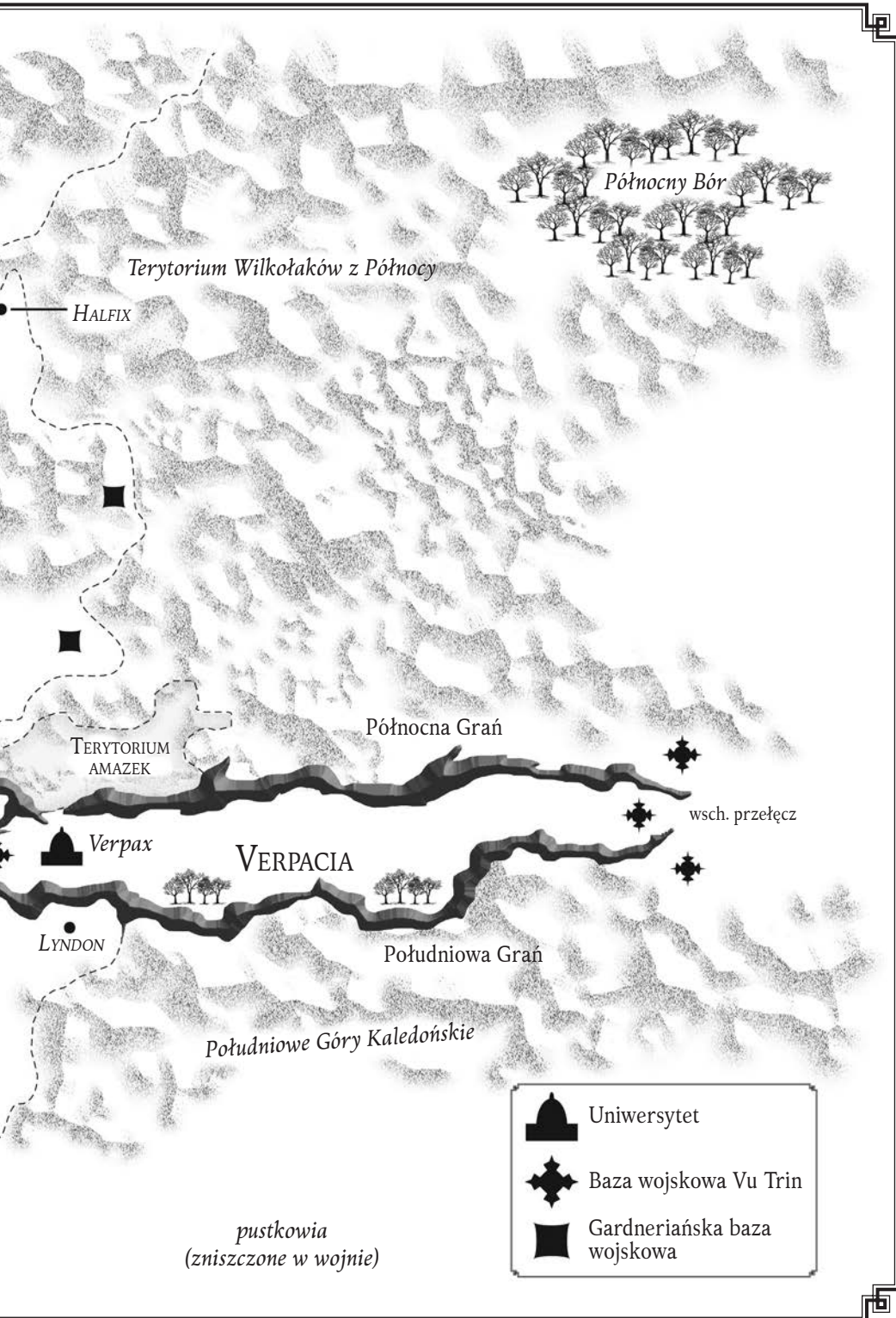
zach.
przełęcz

Wyspa Fae

KELTANIA

ŚWIAT ZACHODU





Terytorium Wilkołaków z Północy

HALFIX

Północny Bór

TERYTORIUM
AMAZEK

Północna Grań



wsch. przełęcz

Verpax

VERPACIA



LYNDON

Południowa Grań

Południowe Góry Kaledońskie



Uniwersytet



Baza wojskowa Vu Trin



Gardneriańska baza
wojskowa

pustkowia
(zniszczone w wojnie)



CZĘŚĆ PIERWSZA



Prolog

Lasy są cudowne.

Drzewa to moi przyjaciele i czuję, jak się do mnie uśmiechają.

Podskakuję, kopię sterty suchych sosnowych igieł i nucę sobie pod nosem, podążając za Edwinem. Mój ukochany wujek co jakiś czas odwraca się do mnie, uśmiecha i zachęca, żeby wędrowała dalej.

Mam trzy latka. Wcześniej nie zapuszczaliśmy się aż tak daleko, więc wizja przygody nakręca mnie do marszu. Tak naprawdę rzadko kiedy odwiedzamy las. Tym razem jednak wujek postanowił zabrać mnie na spacer, a moich braci zostawił daleko stąd. W domu.

Próbuję dotrzymać mu kroku, przeskakując nad sękatymi korzeniami i unikając niskich gałęzi.

W końcu zatrzymujemy się na słonecznej polanie w głębi boru.

– Zaczekaj, Elloren – mówi wujek. – Mam coś dla ciebie! – Klęka na jedno kolano i z kieszeni płaszcza wyciąga patyk. Wciska go w moją malutką dłoń.

Prezent!

To niezwykle patyk – cienki i delikatny. Zamykam oczy i w mojej głowie pojawia się drzewo, z którego pochodzi – duże, rozłożyste, skąpane w słonecznym świetle i zakotwiczone w piasku. Otwieram oczy i ważę patyk w dłoni. Okazuje się leciutki jak piórko.

Teraz wujek z kieszeni spodni wyciąga świeczkę, podnosi się z klęczek i kładzie ją na pobliskim pniu, po czym wraca do mnie.

– Trzymaj go w ten sposób, Elloren – mówi łagodnie, pochylając się i obejmując moją dłoń.

Spoglądam na niego z lekkim niepokojem.

Dlaczego drży mu ręka?

Zaciskam palce na patyku, starając się zrobić to, o co prosi.

– Doskonale, Elloren – mówi cierpliwie. – A teraz poproszę cię o wypowiedzenie kilku zabawnych słów. Zrobisz to dla mnie?

Kiwam zdecydowanie głową. Oczywiście, że zrobię. Zrobiłabym wszystko dla wujka Edwina.

Wypowiada kilka słów, a ja czuję się dumna i szczęśliwa. Może nie rozumiem ich, bo są w nieznanym mi języku i brzmią dla mnie obco, ale nie wydają się trudne. Jeśli dobrze się spiszę, to pewnie mnie przytuli i może nawet da ciasteczka z melasą, które schował do kieszeni kamizelki przed wyjściem z domu.

Wyciągam rękę przed siebie i celuję patykiem w świecę, tak jak mnie poprosił. Czuję, że wujek stoi tuż za mną i bacznie mnie obserwuje, sprawdza, jak uważnie go słucham.

Otwieram usta i zaczynam wypowiadać te niezrozumiałe słowa.

Gdy spływają z mojego języka, coś ciepłego i wibrującego wchodzi mi prosto w nogi z ziemi leżącej pod naszymi stopami.

Coś z drzew.

Potężna energia przepływa przeze mnie i kieruje się w stronę wyciągniętej dłoni. Moja ręka podrywa się i coś błyska oślepiająco. Eksplozja. Ogień wystrzeliwujący z czubka patyka. Drzewa wokół nas w płomieniach, pomarańczowe jęzory buzujące dookoła. Dźwięk mojego krzyku i ryk drzew w mojej głowie. Przerażający łoskot pożogi. Patyk brutalnie wyrwany z moich rąk i odrzucony na bok. Wujek chwyta mnie, przytula do piersi i ucieka od ognia, podczas gdy las rozpada się wokół nas.

Później las wydaje mi się inny.

Czuję, jak drzewa oddalają się ode mnie, napawając mnie niepokojem. Zaczynam unikać dzicy.

Z czasem wspomnienia tego dnia zacierają się.

– To tylko koszmar – mówi wujek, kiedy pożoga powraca w snach.
– Przypomina ci, jak kiedyś poszłaś do lasu. Podczas burzy z piorunami.
Pomyśl o przyjemnych rzeczach i spróbuj zasnąć.

Wierzę mu, ponieważ troszczy się o mnie i nigdy dotąd mnie nie okłamał.

Nawet las zdaje się powtarzać jego słowa. *Spróbuj zasnąć*, szeleszcą liście na wietrze. Aż wreszcie wspomnienie całkowicie zanika jak kamień spadający na dno głębokiej, mrocznej studni.

Trafia do królestwa mrocznych koszmarów.

Czternaście lat później...

Rozdział pierwszy

Halfix

– A masz, ty głupi ikaryto!

Z koszem świeżo zebranych warzyw i ziół przy biodrze spoglądam z rozbawieniem na moich młodych sąsiadów. Wczesnojesienny chłód walczy z ciepłym słońcem o panowanie.

Emmet i Brennan Gaffney to sześciolatekni bliźniacy o czarnych włosach, leśnozielonych oczach i lekko opalizującej skórze, tak cenionej przez mój lud, gardneriańskich magów.

Chłopcy przerywają głośną zabawę i z nadzieją spoglądają na mnie. Siedzą na wilgotnej, skąpanej w słońcu trawie, otoczeni swoimi zabawkami.

Wśród jaskrawych drewnianych figurek dostrzegam te najpopularniejsze. Czarnowłosi żołnierze gardneriańscy w ciemnych tunikach ozdobionych błyszczącymi srebrnymi kulami unoszą różdżki lub miecze. Chłopcy ustawili ich w szyku bojowym na szerokim płaskim kamieniu.

Naprzeciwko prężą się ich tradycyjni przeciwnicy – upiorne demony – ikaryci – ze swoimi świecącymi oczami, twarzami wykrzywionymi szerokimi, złośliwymi uśmiechami, z kulami ognia w rękach oraz czarnymi skrzydłami rozciągniętymi do pełnych rozmiarów w celu zastraszenia przeciwnika. Chłopcy umieścili je na pobliskim pnium i od strony żołnierzy strzelają do nich kamieniami wyrzucanymi z katapulty, którą zrobili z patyków i sznurka.

Pojawiają się też różne postacie drugoplanowe: piękne dziewczęta gardneriańskie z długimi czarnymi włosami; nikczemne zmiennokształtne

wilkołaki – pół ludzie, pół wilki; elfy węzowe o zielonych łuskach; wreszcie tajemnicze czarodziejki Vu Trin. To postacie z książek i pieśni mojego dzieciństwa, znane mi równie dobrze, jak stara kołdra, która leży na moim łóżku.

– Dlaczego tu przyszliście? – pytam chłopców, spoglądając przez dolinę w kierunku posiadłości Gaffneyów i przyległej do niej dużej plantacji. Eliss Gaffney zwykle nie pozwala im oddalać się od domu.

– Mama nie przestaje płakać – wyjaśnia Emmet i stukną głową wilkołaka o ziemię.

– Nie mów jej! – karci go ochrypłym głosem Brennan. – Tata cię za to zleje! Powiedział, żeby nikomu nie mówić!

Nie dziwią mnie jego obawy. Powszechnie wiadomo, że mag Warren Gaffney to człowiek surowy, budzący straszny lęk w swojej przyrzeczonej i ich dzieciach. A zaskakujące zniknięcie dziewiętnastoletniej Sage uczyniło go jeszcze twardszym.

Ponownie spoglądam z troską na posiadłość Gaffneyów.

Gdzie jesteś, Sage?, zastanawiam się smutno. Zniknęła ponad rok temu. *Co mogło ci się stać?*

Wzdycham i odwracam się zmartwiona do chłopców.

– W porządku – mówię, próbując ich pocieszyć. – Przez jakiś czas możecie się tu bawić. Jeśli chcecie, zostańcie na kolację.

Chłopcy pogodnieją, odczuwając wyraźną ulgę.

– Pobaw się z nami, Elloren – prosi Brennan, chwytając figlarnie brzeg mojej tuniki.

Chichoczę i wyciągam rękę, żeby zmierzić jego włosy.

– Może później. Przecież wiesz, że muszę pomóc w przygotowaniu kolacji.

– Gromimy ikarytów! – wykrzykuje Emmet. Aby to zademonstrować, rzuca kamieniem w jednego z nich. Otoczak uderza w figurkę demona i posyła ją w trawę. – Chcesz zobaczyć, czy uda nam się pozabawić ich skrzydeł?

Podnoszę zabawkę i przesuwam kciukiem po jej niepomalowanej podstawie. Biorę głęboki wdech, zamykam oczy i mój umysł wypełnia duże

drzewo z gęstą koroną, rozłożystymi gałęziami i delikatnym białym kwieciami.

Głóg pruinosa. Niezwykle drzewo jak na dziecięcą zabawkę.

Otwieram oczy, wyrzucając ów obraz z głowy, i skupiam się na pomarańczowych oczach demona. Walczę z chęcią ponownego zobaczenia drzewa, ale wiem, że nie powinnam bawić się w ten sposób.

Zdarza się, że kiedy zamknę oczy, trzymając w dłoniach kawałek drewna, mogę wyobrazić sobie drzewo, z którego pochodzi. Z zaskakującymi szczegółami. Widzę jego miejsce narodzin, czuję zapach żyznego, gliniastego dywanu pod jego korzeniami, słońce muskające jego rozrastające się liście.

Oczywiście nauczyłam się nie mówić o tym nikomu.

Ta dziwna umiejętność związana z naturą trąci krwią fae, a wujek Edwin ostrzegł mnie, żebym nigdy o tym nie wspominała. My, Gardnerianie, jesteśmy rasą czystej krwi, wolną od naleciałości otaczających nas pogańskich ras. W mojej rodzinie płynie najsilniejsza i najczystsza krew magów.

Często jednak się martwię. Bo jeśli rzeczywiście tak jest, to czemu niewam te wizje?

– Powinniście ostrożniej obchodzić się ze swoimi zabawkami – karce łagodnie chłopców, otrząsając się ze wspomnienia o drzewie i odstawiając figurkę na ziemię.

Odgłosy toczonej przez nich bitwy cichną, gdy zbliżam się do niewielkiego domu, który dzielę z wujkiem Edwinem i moimi dwoma braćmi. Spoglądam na dziedziniec dzielący mnie od stajni i aż podskakuję ze strachu.

Stoi tam duży, zdobiony powóz. Na jego boku widnieje kunsztowny herb Rady Magów, najwyższej władzy w Gardnerii. To złota litera M zapisana za pomocą wdzięcznych, niezwykle starannych zawijasów.

Czterech żołnierzy, żywe wersje zabawek Emmeta i Brennana, pożywia się na siedząco. Mają na sobie czarne tuniki ze srebrnymi kulami na piersiach, różdżki i miecze przy bokach.

To musi być powóz mojej ciotki, niczyj inny. Vyvian należy do rządzącej w kraju Rady Magów i zawsze podróżuje z uzbrojoną świtą.

Przeszywa mnie dreszcz podniecenia i przyspieszam kroku, zastanawiając się, z jakich powodów moja wpływowa krewna zdecydowała się zawitać do prowincjonalnego Halfixsu.

Nie widziałam jej, odkąd skończyłam pięć lat.

Mieszkaliśmy wówczas niedaleko niej, w Valgardzie, tętniącym życiem miście portowym i zarazem stolicy Gardnerii. Widywaliśmy się jednak rzadko.

Pewnego dnia, niczym grom z jasnego nieba, pojawiła się we frontowym pomieszczeniu sklepu ze skrzypcami mojego wuja.

– Czy poddałeś dzieci testowi różdżki? – zapytała lekkim tonem, ale spojrzenie miała ostre jak lód.

Pamiętam, jak próbowałam schować się za wujkiem, chwytając dłonią jego tunikę, zahipnotyzowana elegancją stojącej przede mną kobiety.

– Oczywiście, Vyvian – odpowiedział z wahaniem wujek. – Nawet kilkukrotnie.

Spojrzałam na niego zdezorientowana. Nie pamiętałam, żeby podawano mnie jakimkolwiek testom, chociaż doskonale wiedziałam, że wszystkie gardneriańskie dzieci musiały się z nimi zmierzyć.

– I co ustaliłeś? – zapytała dociekliwym tonem.

– Rafe i Elloren nie dysponują mocą – stwierdził, po czym przesunął się, zasłaniając mi widok na ciotkę Vyvian i ukrywając mnie w cieniu.

– Co innego Trystan. Chłopak ma w sobie magię.

– Jesteś pewien?

– Tak, Vyvian. Całkowicie pewien.

I wtedy zaczęła nas regularnie odwiedzać.

Wkrótce później wujek znudził się życiem w mieście. Bez ostrzeżenia wywiózł nas tam, gdzie do dziś mieszkamy. W maleńkim miasteczku o nazwie Halfix, położonym na północno-wschodnim krańcu Gardnerii.

Dokładnie pośrodku niczego.

Gdy wylaniam się zza rogu, przez okno w kuchni słyszę swoje imię i zatrzymuję się.

– Elloren nie jest już dzieckiem, Edwinie – rozlega się głos ciotki.

Przykucam i stawiam na ziemi kosz z ziołami oraz warzywami.

– Jest za młoda na zawarcie przyrzeczenia – odpowiada stanowczo wuj, a w jego głosie słychać zdenerwowanie.

Zawarcie przyrzeczenia? Moje serce przyspiesza. Wiem, że większość gardneriańskich dziewcząt w moim wieku związała się już na całe życie z młodymi mężczyznami. Tu jednak żyjemy w izolacji, otoczeni górami. Jediną znaną mi dziewczyną, która się z kimś związała, jest Sage. Tyle że ona zniknęła.

– Tradycja mówi o siedemnastych urodzinach! – Moja ciotka wydaje się lekko poirytowana.

– Nie obchodzi mnie, co mówi tradycja – upiera się wujek, a jego ton nabiera pewności siebie. – To za wcześnie. W tym wieku nie wie się jeszcze, czego się chce. Nie widziała jeszcze świata...

– Bo jej na to nie pozwalasz!

Wujek protestuje, ale ciotka przerywa mu.

– Nie, Edwin. Los Sage Gaffney powinien być dla nas wszystkich ostrzeżeniem. Pozwól mi wziąć Elloren pod moje skrzydła. Przedstawię ją najlepszym kandydatom. A gdy już zwiąże się z którymś z nich, zaczniesz terminować w Radzie Magów. *Musisz zacząć myśleć o jej przyszłości!*

– Traktuję jej przyszłość bardzo poważnie, Vyvian. Wiem jednak, że jest jeszcze zbyt młoda, by podejmować takie decyzje!

– Edwinie... – W głosie ciotki czai się wyzwanie. – Nie zmuszaj mnie, żebym wzięła sprawy w swoje ręce!

– Zapominasz, Vyvian – odpowiada mój wuj – że jestem najstarszym mężczyzną rodu i jako taki mam decydujące słowo we wszystkich sprawach dotyczących Elloren. Kiedy odejdę, to nie ty, a Rafe, jej brat, przejmie po mnie tę funkcję.

Na te słowa unoszę brwi. Najwyraźniej wujek myśli, że stąpa po cienkim lodzie, skoro zdecydował się na taki argument – argument, z którym

sam się nie zgadza. Zawsze mówi, że patriarchat jest niesprawiedliwy. W gruncie rzeczy ma rację. Niewiele Gardnerianek włada magią różdkową, a moja babcia była rzadkim wyjątkiem. Prawie wszyscy potężni magowie są mężczyznami, gdyż moc łatwiej przechodzi na synów. To z kolei sprawia, że właśnie oni rządzą w domach i gospodarstwach.

Ale wujek Edwin uważa, że nasz lud posuwa się za daleko: zabrania kobietom korzystania z różdek – chyba że za zgodą Rady – zaś prawo do podejmowania najważniejszych decyzji dotyczących rodziny oddaje najstarszemu w rodzie. Przewodniczyć rządowi w ramach godności Najwyższego Maga może jedynie mężczyzna. Do tego dochodzi największa bolączka mojego wuja – zawieranie przyrzeczeń przez kobiety w coraz młodszych wiekach.

– Nie będziesz w stanie wiecznie jej chronić – protestuje ciotka. – Co zrobi, gdy pewnego dnia odejdziesz, a wszyscy odpowiedni mężczyźni będą już związani?

– Zrobi, co zechce, bo będzie miała umiejętności, które pozwolą jej radzić sobie na tym świecie.

Ciotka śmieje się. Nawet jej śmiech jest pełen wdzięku. Przywodzi na myśl malowniczy wodospad. Chciałabym i ja tak się śmiać.

– Ciekawe, w jaki sposób miałyby sobie radzić?

– Postanowiłem wysłać ją na uniwersytet.

Mimowolnie wciągam mnóstwo powietrza do płuc i zatrzymuję je tam, bojąc się odetchnąć. Jestem zbyt zszokowana, żeby zareagować w jakikolwiek inny sposób. Przerwa w rozmowie mówi mi, że ciotka również jest zaskoczona.

Uniwersytet Verpax. Tak jak i moi bracia. Razem w zupełnie innym kraju. Marzenie, którego nigdy nie miałam, gdyż wydawało mi się zbyt nieprawdopodobne.

– Dlaczego chcesz ją tam wysłać? – pyta przerażona ciotka.

– Żeby nauczyła się zawodu aptekarza.

Ogarnia mnie oszałamiająca radość. Od lat błagałam wujka Edwina, by gdzieś mnie wysłał. Marzyłam o czymś więcej niż nasza mała biblioteczka

i ziola z ogródka. Namiętnie zazdrościłam Trystanowi i Rafe'owi, którzy rozpoczęli studia.

Uniwersytet Verpax. Uczelnia położona w tętniącej życiem stolicy Verpacii. Z laboratoriami aptekarskimi i olbrzymimi szklarniami. Słynne Gardneriańskie Ateneum wypełnione książkami aż po dach. Produkty aptekarskie napływające na lokalny rynek ze wschodu i zachodu, gdyż kraj ten leżał na centralnym szlaku handlowym.

W głowie kręci mi się od ekscytujących możliwości.

– Och, daj spokój, Vyvian – wzdycha mój wujek. – Nie martw się tak! Aptekarstwo to dla kobiet doskonały zawód! Poza tym spokojna natura Elloren i jej pociąg do książek pasują do niego bardziej niż do Rady Magów. Ta dziewczyna uwielbia ogrody, przygotowywanie leków i tak dalej. Już teraz jest w tym dobra.

Następuje nieprzyjemna cisza.

– Nie pozostawiasz mi innego wyjścia, jak tylko wykazać się stanowczością w tej kwestii – mówi ciotka głosem niskim i zaskakująco ostrym. – Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę przeznaczyć ani jednego guldena na czesne Elloren, dopóki pozostaje niezwiązana?

– Niczego innego się nie spodziewałem – stwierdza chłodno wuj. – Dlatego poczyniłem starania, żeby mogła odpracować czesne w kuchni.

– To wręcz *niesłychane!* – wykrzykuje ciotka z wyraźnym gniewem. – Wychowujesz te dzieci jak keltyckich chłopów! – prycha. – Szczególnie mówiąc, Edwinie, uważam twoje postępowanie za haniebne. Zapomniałeś chyba, kim jesteśmy! Nie zdarzyło się jeszcze, by Gardnerianka, zwłaszcza równie dobrze urodzona jak Elloren, pracowała w kuchni! To praca dla urisków, dla Keltów, nie dla dziewczyny wywodzącej się z tak znamienitej rodziny. Jej rówieśnicy z uczelni będą *zszokowani*.

Drgam z przerażenia, gdy coś mocno uderza mnie w bok. Odwracam się i widzę, jak mój starszy brat Rafe rozsiada się obok i uśmiecha szeroko.

– Przestraszyłem cię, siostrzyczko?

Nie rozumiem, jak ktoś tak wysoki i dobrze zbudowany może poruszać się cicho jak kot. Podejrzewam, że ten jego talent to wynik niekończących

się wędrówek i polowań w dziczy. Najwyraźniej wrócił z jednego z nich. Przez jedno ramię ma przewieszony łuk i kołczan, z drugiego gęś zwisa lebką w dół.

Spoglądam na niego surowo i unoszę palec, żeby go uciszyć. Ciotka Vyvian i wujek Edwin nie przestają się spierać.

Rafe unosi brwi w zaciekawieniu i przechyla głowę w stronę okna. Wciąż się uśmiecha.

– Ach – szepcze, uderzając mnie w ramię przyjacielskim gestem. – Rozmawiają o twojej romantycznej przyszłości.

– Przegapiłeś najlepsze – odpowiadam. – Przed chwilą stwierdzili, że po śmierci wujka będziesz moim panem i władcą.

Rafe chichocze.

– Taki mam zamiar! I rozpocznę moje bezwzględne rządy od przekazania ci swoich obowiązków. Zwłaszcza zmywania naczyń.

Przewracam oczami.

– I zamierzam doprowadzić do twojego związku z Garethem! – Nie przestaje mnie prowokować.

Otwieram usta szeroko. Garetha, naszego dobrego przyjaciela z lat młodości, traktuję jak brata. Tym samym nie jestem nim w żaden sposób zainteresowana.

– No co? – śmieje się Rafe. – Mogłabyś trafić gorzej – dodaje i nagle coś przyciąga jego wzrok, bo uśmiecha się szerzej. – Patrzcie, patrzcie, kto przyszedł! Cześć, Gareth! Siemasz, Trystan!

Obaj wyłaniają się zza chaty i podchodzą do nas. Łapię spojrzenie tego pierwszego. Natychmiast robi się szkarłatny i w mgnieniu oka poważnieje.

Czuję się zawstydzona.

Najwyraźniej usłyszał te żarty.

Gareth jest nieco starszy ode mnie, silny i krzepki. Ma dwadzieścia lat, ciemnozielone oczy i czarne włosy, zresztą tak jak my wszyscy. Jedno go wyróżnia: jego czarne włosy zdobią srebrne pasemka, jakże nietypowe dla Gardnerian i dla wielu stanowiące dowód jego niezbyt czystej krwi. Ten chłopak przez całe życie mierzył się z nieustającymi obelgami.

„Kundel”, „elfi bękart” czy „synek fae” to tylko niektóre z przezwisk, którymi podobno obrzucały go inne dzieciaki. Gareth ze stoickim spokojem znosił dokuczanie i jako syn kapitana statku często szukał ukojenia u boku ojca na morzu. Albo u nas.

Na mojej twarzy pojawia się żenujący rumieniec. Kocham Garetha jak brata, ale z pewnością nie chcę być jego przyrzeczoną.

– Co się tu dzieje? – pyta mój młodszy brat, Trystan, widząc nas kucających pod oknem.

– Podsluchujemy – wesołym półszepcetem odpowiada Rafe.

– Dlaczego?

– Ren ma zostać przyrzeczoną!

– Wcale nie! – protestuję i krzywię się do niego, po czym spoglądam na drugiego brata, odzyskując niedawną radość. – Za to idę na uniwersytet! – oświadczam i uśmiecham się szeroko.

Trystan unosi brew ze zdziwienia.

– Chyba żartujesz!

– A skąd! – Solennie zapewnia Rafe.

Młodszy brat spogląda na mnie z aprobatą. Wiem, że jako cichy i pilny student uwielbia tę uczelnię. Jako jedyny z nas ma magiczną moc, ale jest też utalentowanym łuczarzem i fechtmistrzem. W wieku szesnastu lat został przyjęty do gardneriańskiej gildii wytwórców broni i już odbył staż wojskowy.

– Cieszę się, Ren – mówi. – Będziemy spotykać się w stołówce!

Rafe ucisza go, udając surowość, po czym spogląda w stronę okna.

Trystan pochyla się i przykuca, jakby chciał nas sparodiować. Gareth robi to samo, jednak wciąż wydaje się skępowany.

– Mylisz się, Edwinie. Nie możesz wysłać dziewczyny na uniwersytet bez oddania jej komuś – dominujący ton ciotki nieco już zelżał.

– Ale dlaczego? – rzuca wyzwanie wuj. – Jej bracia nie są z nikim związani. A Elloren nie jest głupia!

– Sage Gaffney też nie była głupia – przypomina ciotka mrocznym tonem. – Wiesz równie dobrze jak ja, że wpuszczają tam szemrane

towarzystwo: Keltów, elfhollenów... W tym roku mają nawet dwie ikarytki. Tak, Edwinie, ikarytki!

Unoszę wzrok. Demony ikaryjskie uczęszczają na uniwersytet? Jak to w ogóle możliwe? Keltycy chłopci i elfholleni to jedno, ale ikarycy? Zaniepokojona spoglądam na Rafe, który wzrusza ramionami.

– Nic dziwnego – komentuje zde gustowanym głosem moja ciotka. – Rada Verpaksu jest pełna istot półkrwi. Stanowią też większość wśród uniwersyteckich hierarchów. Wspierają integrację do poziomu absurdu, co, szczerze mówiąc, robi się niebezpieczne – dodaje i wzdycha zde gustowana. – Marcus Vogel uporządkuje sytuację, kiedy tylko zostanie mianowany Najwyższym Magiem.

– O ile zostanie, Vyvian! Vogel wcale nie musi wygrać wyborów.

– Ależ wygra – warczy ciotka. – Jego poparcie rośnie!

– Naprawdę nie rozumiem, jaki to ma związek z Elloren – zauważa wujek dziwnie surowym głosem.

– To ma związek z Elloren, ponieważ może wdać się w nieodpowiedni związek uczuciowy i w ten sposób zniszczyć sobie przyszłość, co odbije się na naszej rodzinie. Gdyby zawarła przyrzeczenie, jak niemal wszystkie gardneriańskie dziewczęta w jej wieku, mogłaby bezpiecznie uczęszczać na zajęcia.

– Vyvian... – upiera się wuj. – Podjąłem już decyzję w tej sprawie. Nie zamierzam jej zmieniać.

Zapada cisza.

– Proszę bardzo – wzdycha w końcu ciotka z wyraźną dezaprobatą. – Widzę, że jesteś zdecydowany, ale przynajmniej pozwól jej spędzić ze mną najbliższy tydzień. To nie jest zły pomysł, przecież Valgard leży przy szlaku prowadzącym na uniwersytet.

– No dobrze – poddaje się wyraźnie zmęczony sporem mężczyzna.

– Cóż – mówi ciotka, nagle dziwnie zadowolona – cieszę się, że wreszcie się w czymś zgadzamy. A teraz dzieciaki mogłyby przestać chować się pod oknem i do nas dołączyć. Przywitalibyśmy się jak normalna rodzina.

Gareth, Trystan i ja drgamy zaskoczeni.

Jedynie Rafe uśmiecha się, odwraca w moją stronę i unosi brwi.